

Wrócę przez las do źródła. Cicho. Coraz ciszej
i do końca z tym rytmem jak klasyczny taniec.
Książki w logicznych rzędach. Saska porcelana
drżąca zgodnym staccato zbudzonych klawiszy.

.....
I spalę wszelkie ślady po spalonych mostach.
Daremne przeszła dawno nie sięgają brzegów.
Dołem martwe wąwozy i spienione rzeki.
Cichy obłok popiołu zawisnie w kosmosie.

I tylko z garstką ziemi w zaciśniętej dłoni.
Zanim to co ją trzyma nie stanie się ziemią.
By opowiedzieć jak się w ciało proch przemienia
nie wrócił nikt kto znalazł się po tamtej stronie.

Krystyna Konecka, *Cisza*

czerwiec 1963

Cokolwiek mogło się zdarzyć, moje losy były przesądzone. Jeszcze niedawno myślałem o przyszłości z lekką ironią, jak o czymś naznaczonym wiecznością, jak o słodkim i bezkresnym czasie przymiarek do życia. Spomiędzy kolejnych dni spoglądał na mnie mroczny, jak mi się wtedy wydawało, i nieunikniony obowiązek wyboru. Dlatego teraz, gdy odnalazłem dla siebie pośród tego mroku wyraźną ścieżkę, a na jej końcu błyszczał, niczym szlachetny diament, wymarzony szczyt, drżałem z niepokoju.

Był maj, gorący i suchy. Rodzice znużeni upałem snuli się po mieszkaniu bez życia. Dopiero mój powrót odświeżył nieco atmosferę. Wchodząc do mieszkania, z rozmachem trzasnąłem drzwiami. Zassane powietrze wyprzedziło mnie

o pół kroku i pokonując drogę przez długi, ciemny korytarz, wpadło odważnie do kuchni. Ojciec uniósł lekko głowę znad książki i spojrzał zdziwiony w moją stronę. Białe kartki zatrzepotały uwięzione w grzbietach, próbując zakosztować wolności. Umyłem szybko ręce i usiadłem przy stole. Byłem potwornie głodny.

Mama szykowała obiad i pytaniami próbowała wy badać, co w trawie piszczy. Czuła wiszące w powietrzu napięcie, więc delikatnie, żeby mnie nie spłoszyć, badała teren. Jak miałem się bronić? Ciężko mi było skrywać przed nimi swoje tajemnice. Obawiałem się ich reakcji. Sukces, który osiągnąłem, jego konsekwencje, dla mnie były obietnicą życiowego startu, dla nich otchłanią pełną zepsucia i ślepą uliczką. Przeczucie, że się stopniowo od siebie oddaliśmy, teraz stało się pewnością. Dzielili nas wszystko. Miarą tych podziałów były zdarzające się coraz częściej kłótnie i ataki. To nie ja atakowałem. To oni tracili grunt pod nogami. I wtedy, zamiast akceptacji, zachęty, zamiast zrozumienia, mogłem się spodziewać jedynie krytyki.

Nie chcieli pomagać, nie cieszył ich mój entuzjazm, zachłanność na zmiany. Stali w pewnej odległości, chłodni i zdystansowani, dokładnie tam, gdzie osadziły ich czasy i ustrój, któremu nie byli przychylni. Dotykali życia jedynie opuszkami palców, skryci za pozorną zasłoną stabilizacji i nudy.

A mnie wciąż było mało. Głowę pełną miałem wiatru, dymu i tęsknoty za zdobywaniem, otwieraniem, podpalaniem.

Czułem się królem wszechświata, młodym, ambitnym, hojnie obdarzonym i dumnym. Przyszłość, niczym mleczna droga, prowadziła mnie w odległe przestrzenie. Jeszcze na starcie, skromny i nieśmiały, jeszcze bez dworu, początkujący, elekt, zarodek gwiazdy, siedziałem za stołem w swoim

rodzinnym domu i jadłem. Wcinałem pierogi. W moim mózgu wrzało, niosło mnie jak licho, ponad domy, ponad ulice, nogi drgały mi nerwowo, gdzieś gnać, gnać bez końca. Patrzyłem przez okno na rysujące się w oddali dachy mojego miasta, na korony drzew, na kominy, na kołujące nad starym kasztanem wrony.

Krzyż ramy okiennej, dzielącej taflę szkła na cztery części skojarzył mi się z ukrzyżowaniem, a napierające z nieba biało-szare chmury ze skałami na Golgocie. Krzyż na szczęście był pusty, a ja rozpięty pomiędzy wątpliwościami. Kłótnia z ojcem na temat mojego opuszczania niedzielnej mszy wisiała jeszcze w powietrzu. Nie wiedziałem, co począć z dręczącymi mnie ostatnio pytaniami o wiarę, on nie wiedział, jak ze mną rozmawiać. Czuł, że wymykam się spod ojcowskiej władzy, którą dotychczas przyjmowałem jako naturalną, a którą teraz, nagle, nie wiadomo czemu, położyłem na szali przeciwko własnej dorosłości. Wiadomo, że nie miałem szansy zebrać wystarczającej liczby argumentów, żeby ją przeważyć, a jednak chciałem próbować. Syn w końcu kiedyś musi odłączyć od stada, znaleźć swoją własną drogę życia albo przynajmniej zacząć jej szukać. Ja zacząłem od zanegowania tego wszystkiego, co zostało mi narzucone, by później dokonać własnego wyboru, być może podobnego, kto wie.

Było mi ciasno w ojcowskim kołnierzyku. Nasze światy, mój świat i świat ojca, zaczęły wyraźnie odstawać i coraz częściej wchodziły sobie w drogę. W miarę jak nabierałem pychy i odwagi, robiłem się bezczelniejszy, a on gasł w sobie i pokorniał coraz bardziej. Był starym ojcem, ja byłem wojennym wyskrobkiem.

Przed chwilą nad miastem przeszła silna burza. Jeszcze jej ostatnie pomruki niosą się ponad miastem, dudnią

w oddali, jeszcze krąży nad Odrą, zalewając okoliczne łąki strumieniami. A tu, nad moją głową rozjaśnia się niebo i mały cypel światła wyłania się zza chmur, ukazując wejście do wszechświata — i kusi mnie. Kołyszają się szarpane wiatrem korony drzew, wszystko jeszcze rozdygotane, zmaczone, parne, zgięte wpool pod ciężarem wody, zaczyna znowu oddychać. Powoli wraca spokój. Jeszcze ostatnia błyskawica przecina skrawek jasnego nieba, ginąc w pierwszych promieniach słońca, a przeorana ziemia zachłannie nasiąka wodą. Stado spłoszonych ptaków odrywa się od ziemi i wisi w powietrzu nad domem. Słychać, jak trzepią skrzydłami, może zgubiły kierunek lotu w zgiełku elektronów. Chlusnęło jeszcze deszczem, a szyba z krzyżem bez Chrystusa pokryła się łzami, które powoli spływając, rzeźbiły na szkle koronkowe wzory. Zerknąłem na prawo ciekaw tego, co jeszcze nastąpi. Od ulicy Hanki Sawickiej zbliżał się wielki błękit.

Przełknąłem w pośpiechu ostatniego pieroga. Słońce bezczelnie spadło mi do kubka z herbatą, a potem rozlało się po stole, jak miód ze słoika, słodkie i lepkie. Mama stała nade mną z pełną miską, zła, że znowu wychodzę, a do tego zaraz po burzy. Kwadratowa salaterka, z wąskim złotym paskiem na brzegu kołysała się nad moją głową jak rozhuśtany żyrandol, a oblepione tłuszczem pierogi tańczyły w niej, gotowe w każdej chwili do lotu na mój pusty talerz. Zaprzeczyłem ruchem głowy, w ostatnim momencie.

— Gdzie cię goni? — Próbowała mnie jakoś zatrzymać. — Dopiero przestało padać. Znowu będziesz chory. — Dotknęła mojego policzka i pod pretekstem troski o zdrowie lekko pogładziła. Po wczorajszej rozmowie, kiedy nocą wyznała mi swoją tajemnicę i przekazała tę jedyną ocalałą kartkę z jej pamiętnika, powstała między nami jeszcze większa więź niż dotychczas. Obarczyła mnie ciężarem dziwnej

wyroczeni, jakby chciała w ten sposób przestrzec mnie i uratować. Łudziła się pewnie, że kiedy prawda ujrzy światło dzienne, czar pryśnie i zło przestanie działać. A ja miałem przecież całe życie przed sobą. Po co mi coś takiego? Głupstwo, jakiś zabobon z przeszłości, przewidzenie, które urosło w jej głowie do mitu. Spoglądałem nieufnie na pożółkłą kartkę. Pochyłe litery układały się w równe, czytelne zdania. Przełknąłem je po raz drugi i trzeci, już mniej bolały, jakbym przywykł. A może było to jakieś wyjście? Lecz czy można oszukać los, wymknąć się przeznaczeniu? Ona też w to nie wierzyła. Wolalbym tej kartki nie widzieć albo zniszczyć ją i szybko zapomnieć. Zapytałem matkę, czy mogę. Powiedziała, że wszystko zależy ode mnie. Więc trudno. Niech będzie. Przyjąłem ją, tak jak chciała, ale daleki byłem od tego, żeby na serio brać te przestrogi. Słyszałem je przecież codziennie. Wszyscy je słyszeliśmy. Każdy dostawał na drogę garść dobrych rad i krzyżyków. Gdyby się nimi przejmować, trzeba by nie wychodzić z domu.

A jak tu usiedzieć, gdy na dworze taka pogoda! Jak jej wytłumaczyć, że po burzy świat wygląda najpiękniej? Magiczna przemiana, oczyszczenie, boski chrzest, woda niepokalana na grzeszącą ziemię.

Było jeszcze tyle pracy. Na dziewiętnastą umówiłem się z Adamem w „Piwnicy”. Trzeba wprowadzić pewne poprawki w mojej mozaice na głównej sali za sceną.

Dumny byłem z tej ściany. To moja pierwsza samodzielna praca, tak duża i czasochłonna. Wszystkim się podoba. Wciąż zbieram gratulacje. Tylko rodzice jeszcze o niczym nie wiedzą. Bałem się, że nie będą zachwyceni. W mieście różnie się mówi o naszej „Piwnicy”.

W zesłą sobotę odwiedził nas Staszek Jopek. Chętnie tu przyjeżdżał. W końcu to również i jego miasto. Jest stąd,

jak my wszyscy. Tu się wychował, skończył szkołę, a teraz jeździ po świecie z „Mazowszem”. Takiemu to dobrze. Aż zazdrość bierze. Mnie też marzył się wielki świat. Śniła mi się po nocach sława, może zdarzy się cud w moim życiu?

„Piwnica” nam się rozśpiewała. Jak tu nie śpiewać, wychowaliśmy się na tych piosenkach. Śpiewali wszyscy. Staszek zaczynał, zespół za nim, a potem cała sala. Brzmiało jak rytualny śpiew narodu, równo i pełną piersią, szczerze i bez ociągania. Normalnie wstydziliśmy się takiej muzyki, każdy tylko jazz i jazz, ale jak przyszło co do czego, nie ma to jak swojska nuta. Aż się wszystkim oczy śmiały. Marycha też próbuje swoich sił. Może przyjmą ją do zespołu. Jest jeszcze za młoda, mama nie puści jej z domu. Chyba że się coś wymyśli. Niech dziewczyna ćwiczy, ma przecież ładny głos.

Czułem się świetnie, coś na kształt euforii, jakbym nosił w sobie ogromny balon wypełniony helem. I ta pogoda, cudowna. Odbierałem dotkliwie każdy szczegół. Cisnęły mi się do oczu kolory, aż piekło pod powiekami.

Piastowska cała w lipowych kwiatach, mógłbym tak stać i wyc z rozkoszy. Wszystko błyszczało w słońcu, nawet płyty chodnikowe, wyczyszczone słonecznym blaskiem. Światło załamywało się w podcieniach bram, balkonów, odbijało w zachodnich oknach półkolistych wykuszów i schodziło nisko. Kładło się niemal poziomo nad ulicą i podświetlało wszystko od dołu. Wynurzały się przede mną, jak z wód Pacyfiku, kolejne domy, ukryte pozornie za czerwonym światłem zachodu, niektóre ze śladami niedawnej przeszłości, zdobione ręką ówczesnych mistrzów. Nazwiska ich zapomniane, zatarte przez lata wojny, zamazane dziejami przewrotnej historii, co wychwalała ich talent za wyszukany smak, za oryginalny styl, za nowatorskie wzory, a teraz gani

za nadmierny przepych, jarmarczną urodę, symbol imperium, którego już dawno nie ma.

Emanowała z nich przeszłość, z jednej strony melancholijna i bliska, a z drugiej daleka, jakby zakazana, nawet trędownata. Zawsze ogarniał mnie smutek na myśl o tym, że to nigdy już nie powróci. Te zdobne murki, piękne gzymsy, ząbkowane fryzy, te kwiaty z kamienia na murach, liście, całe wieńce laurowe pod okapem dachów, ozdobne taśmy. Kto jeszcze dziś zaryzykuje i zawiesi na swoim domu wielkie maszkarony, kto się odważy opleść dom cementową kokardą albo ornamentami kwiatów, kto? Betonowe kostki wyrastają na miejscu secesyjnych kamienic i kojarzą się raczej z jenieckim obozem niż z przytulnym, rodzinnym mieszkaniem. Jak dobrze, że moja kamienica ocalała choć w części i być może za kilka lat uświadomi wszystkim, co stracili.

W tych domach, które od kilku lat pędzą swój kombatancki żywot, na pewno mieszkają jeszcze duchy wymarłych mieszkańców, dawnych właścicieli. Przeznaczenie kazało im powrócić w te strony, pomiędzy mury niegdyś ich, dziś na zawsze stracone, i dotykać pozostałych po wielkim kataklizmie okruchów przeszłości.

Wiedziony urodą mojej ulicy maszerowałem przed siebie z głową zadartą do góry, jakbym w chmurach nad miastem, w drobnych obłoczkach zwiastujących pogodę próbował znaleźć jakiś znak świadczący o tym, że najgorsze już za mną. Marzyłem o lepszych czasach dla nas młodych, urodzonych w dniach niepokoju i głodu, a teraz wodzonych na pokuszenie obietnicami raj. Wpatrywałem się w wystającą powyżej pierzei dachu wieżyczkę na szczycie starej kamienicy, na jej wierzchołek płonący milcząco, na złotą blachę jakimś cudem ocalałą przed rabusiami, i myślałem, że wszystko jest możliwe. I nic to, że poniżej na murach

kamienic widać było jeszcze ślady kul, jesteśmy po to, żeby je naprawić. Tyle jest do zrobienia.

Widziałem wczoraj z kuchennego okna, że w ogrodzie u Neugebauera rozkwitły rododendrony. Ile razy z wysokości drugiego piętra spoglądam za ceglany mur, tyle razy mi się zdaje, że wchodzę do innej krainy. Tam czas zatrzymał się na latach przedwojennych, tam jakimś cudem nie dotarły ustrojowe zmiany. Choć pamiętam, jak kilka lat temu część ogrodu z fontanną i basenem stała się podwaliną dla placu zabaw. Ale to, co zostało, jakby nietknięte wojną, ocalałe w każdym szczególe, obrazuje tym po drugiej stronie nędzę, w której żyją, i bałagan, który robią wokół siebie, nie wiadomo dlaczego. Jakby tak trudno było na czas zgrażyć liście, podciąć gałęzie, wyrwać chwasty. Jakby rynny na dachu warsztatu stojącego na naszym podwórku musiały zarosnąć tak bardzo, że już młode brzozy zapuściły korzenie w szarą ze starości papę. Lubię ten dach, jest mu nawet dobrze w tej zieleni, ale tam, tam po drugiej stronie czerwonego muru jest inaczej, jak w bajce. W dawnej rezydencji właściciela brzeskich cukrowni zrobili teraz żłobek i mają ogrodnika, może dlatego wszystko tu jeszcze nietknięte, takie nieskazitelne i czyste. Dlaczego dobrobyt idzie w parze z porządkiem, a bałagan z ubóstwem, co te dwie sprawy mają ze sobą wspólnego?

Minął mnie autobus. Niebieski san, wypełniony po brzegi pasażerami zacharczał za moimi plecami. Na zakręcie ulicy ostro zahamował. Autobus miał wgnieciony zderzak i długą białą rysę na karoserii. W środku pełno było ludzi. Blade twarze widoczne przez okno, ręce stojących wsparte o szyby. Ciężko podróżować w taką pogodę. Na prawo dwóch żołnierzy, w hełmach, w spłowiatach ze starości mundurach. Niby nic, a jednak wyczuwa się w ich ruchach jakiś niepo-

kój, napięcie, nienaturalne podniecenie. Pewnie niedługo będzie tu jechać wojsko, może nawet czołgi. Tędy jedzie się do jednostki. A obok zwykła uliczna wrzawa, jakiś wóz z sianem, kilka rowerów, rozkrzyczane dzieci na skwerku, zwykły dzień.

Czułem się dumny ze swojego miasta. Szkoda, że nie było mi dane zobaczyć go w czasach świetności. Po obu stronach ulicy budynki dawnych fabrykantów, zamożnych mieszkańców, przedwojennych oczywiście. Dziś siedziby szkół, przychodnia, garnizonowy klub dla wojska. Jak długo czas łaskawie będzie się z nimi obchodził, ile lat wytrzymają w obecnej świetności, czy będą tu jeszcze stały, gdy moje dzieci kiedyś pójdą tą ulicą?

Minąłem ulicę Trzech Kotwic, Łokietka, Powstańców, wchodzę na Długą, przechodzę obok ruin więzienia, obok zniszczonego kościoła św. Mikołaja, ciągnie mnie nad rzekę. Lubię chodzić do parku ulicą Nadodrzańską. Widać stąd Kępę i Wyspę Młyńską, most, a potem park. To mój prywatny szlak, to trasa, którą pokonuję, gdy mam więcej czasu lub gdy szukam natchnienia. Cieszę się, że mogę mieszkać w tym mieście, bo przecież mógłbym mieszkać gdzie indziej, w jakimś nijakim miejscu, bez historii, bez duszy, bez tej atmosfery, która mnie unosi nad ziemię i wypełnia. To moje miasto, najpiękniejsze na świecie, mój dom, na teraz i na zawsze. Jestem szczęśliwym człowiekiem. Mam wielki apetyt na życie. Sam też będę wielki.

Aha, zapomniałem, wczoraj widziałem gardenię, pierwszy raz w życiu. Gardenia to taki kwiat, zawsze biały. Wygląda jak róża z plasteliny, w zapachu przypomina jaśmin. Kojarzy mi się z pogniecioną kartką papieru.